

Bohaterowie, renegaci, zdrajcy... - Paweł Piotr Wieczorkiewicz

Piłsudski, sporządzając w 1922 r. ocenę wyższej kadry dowódczej WP, pierwszą lokatę przyznał Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu. Marszałek, stawiając go „najwyżej pośród generałów polskich, brał pod uwagę jego moc charakteru i woli, ale też niepokoił się jednocześnie zdolnościami operacyjnymi w zakresie prac Naczelnego Wodza i umiejętnościami mierzenia sił nie czysto wojskowych, lecz całego państwa”. Wątpliwości budziło również, że bywał „co do otoczenia własnego [...] kapryśny i wygodny, szukający ludzi, z którymi by nie potrzebował walczyć lub mieć jakiegokolwiek spory”.



Piłsudski, sporządzając w 1922 r. ocenę

wyższej kadry dowódczej WP, pierwszą lokatę przyznał Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu. Marszałek, stawiając go „najwyżej pośród

generałów polskich, brał pod uwagę jego moc charakteru i woli, ale też niepokoił się jednocześnie zdolnościami operacyjnymi w zakresie prac Naczelnego Wodza i umiejętnościami mierzenia sił nie czysto wojskowych, lecz całego państwa”. Wątpliwości budziło również, że bywał „co do otoczenia własnego [...] kapryśny i wygodny, szukający ludzi, z którymi by nie potrzebował walczyć lub mieć jakiegokolwiek spory”.

Paweł Piotr Wieczorkiewicz

Bohaterowie, renegaci, zdrajcy...

rok wydania: 2015

Wydawnictwo LTW

EDWARD RYDZ-ŚMIGŁY (1886–1941)

Był jednym z najwybitniejszych polskich generałów swej doby. Piłsudski, sporządzając w 1922 r. ocenę wyższej kadry dowódczej WP, pierwszą lokatę przyznał Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu. Marszałek, stawiając go „najwyżej pośród generałów polskich, brał pod uwagę jego moc charakteru i woli, ale też niepokoił się jednocześnie zdolnościami operacyjnymi w zakresie prac Naczelnego Wodza i umiejętnościami mierzenia sił nie czysto wojskowych, lecz całego państwa”. Wątpliwości budziło również, że bywał „co do otoczenia własnego [...] kapryśny i wygodny, szukający ludzi, z którymi by nie potrzebował walczyć lub mieć jakiegokolwiek spory”. Mimo tej obiektywnej wysokiej oceny wojnę z Niemcami przegrał. W długim szeregu polskich wodzów, których spotkał podobny los, zajmuje miejsce szczególne. Żadna bowiem z toczonych przez nich kampanii nie zakończyła się tak katastrofalną klęską armii i państwa. To zapewnia mu miejsce w historii.

Obiektem ataków, najczęściej niesprawiedliwych, dyktowanych polityczną koniunkturą, w których padały lekko najcięższe oskarżenia, aż do zdrady włącznie, stał się bezpośrednio po zakończeniu walk i w okupowanym kraju, i na wychodźstwie. Ppłk Alojzy Horak pisał w wydanej wówczas anonimowo broszurze, że „przegrana była możliwa, ale nie musiała mieć charakteru katastrofalnego”, dodawał, że za to „odpowiedzialny jest Edward Rydz”. Marian Hemar piętnował go w wierszu *Do generała*:

Wieki w Polsce modliły się o to,

żeby naród był za wodzem cały,

wiarą, zgodą, natchnieniem, ochotą!

To był taki kapitał niezmierny

przyszłej mocy!!!

A pan go roztrwoił!...

Sąd nad Panem?...

Boże miłosierny!...

Głowa Pańska –

Głowę pan obronił!

[...]

Ach, pan przegrał

coś więcej niż wojnę!

I coś więcej

niż wojsko zmarnował!

Najsurowsze oceny naczelnego wodza przejęła z lubością propaganda PRL-u, służyły bowiem uzasadnieniu tezy o bankructwie nienawistnej jej II Rzeczypospolitej. I tak np. mianująca się historykiem Maria Turlejska rozpisywała się w roku 1953 o „ohydzie reżimu zdrady narodowej, którego naczelne władze porzuciły krwawiący w bojach kraj na pastwę losu”. I dzisiaj Śmigły poddawany bywa druzgocącej krytyce, co prawda w nieco innej optyce. Płk Apoloniusz Zawilski, weteran kampanii 1939 r., pisał ostatnio z pasją, że „ponosi winę za katastrofę na wschodzie, za rozkaz «Z bolszewikami nie walczyć», za opuszczenie kraju, za polecenie przekazania Sowiecom Lwowa. [...] Gdyby to było możliwe, to powinien był on otrzymać najwyższe odznaczenie sowieckie i dożywotnią rentę z pałacem na Krymie”.

Sam miał świadomość ciężkiej odpowiedzialności i wagi stawianych zarzutów. Już w Rumunii, z „twarzą przeobrażoną, porytą cierpieniem”, przypominał w rozmowie z Melchiorzem Wańkowiczem krążące na swój temat opinie: „Mówią [...] że jestem [...] tchórzem [...] że [...] uciekłem”.

Edward Rydz urodził się 11 marca 1886 r. Podobnie jak starszy o kilka lat Władysław Sikorski stanowił przykład możliwego w Galicji wydzwignięcia się ze społecznych nizin. Przez lata pochodzenie Rydza stanowiło wstydlivą tajemnicę, był bowiem, wedle najbardziej prawdopodobnej wersji, bękartem, nieślubnym synem zarządcy majątku Łapszyn, oddanym na wychowanie do prostej rodziny: przybrany ojciec był wozowodą, matka zaś – praczką. Miał szczęście, gdyż w czasach szkolnych zaopiekowali się nim majątni doktorostwo Uranowiczowie z Brzeżan. Po ukończeniu gimnazjum w roku 1905 wstąpił na krakowską Akademię Sztuk Pięknych, gdzie podjął naukę pod ręką tak znakomitych mistrzów jak Leon Wyczółkowski, Teodor Axentowicz i Józef Pankiewicz. Nieco później zapisał się na filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Na szczęście i dla polskiej historii, i dla polskiego malarstwa (nie zapowiadał się bowiem na artystę wielkiej miary), związany jeszcze w latach gimnazjalnych z półlegalnymi kółkami niepodległościowymi, w roku 1908 zgłosił się do Związku Walki Czynnej, wybierając karabin zamiast palety. Praca wojskowa, do której miał pewne przygotowanie jako tzw. jednoroczny ochotnik, pochłonięła go bez reszty. Na tle innych wyróżnił się żołnierską żyłką, ale i cechami charakteru, które jednały mu otoczenie – „spokojem i skromnym sposobem życia” – tak szybko i tak bardzo, że w roku 1914 w Legionach stał już na czele batalionu, aby następnie szybko objąć 1 pułk. Dowodził nim tak pewnie i z takim wyczuciem frontowej sytuacji, że Piłsudski powierzył mu w swym zastępstwie ukochaną I Brygadę.

Ponieważ w roku 1917 Śmigły podczas kryzysu przysięgowego uniknął szczęśliwie internowania, stanął na czele zakonspirowanej Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). O swych ówczesnych pogłębiających się z biegiem czasu rozterkach tak pisał po wielu latach: „było źle! Wódz dalej w więzieniu [...] – cóż robić dalej? [...] Powstała pustka. [...] Atmosfera beznadziejności, bezradność, streszczająca się w formie – róbcie, co możecie i chcecie”. POW odegrała istotną rolę w roku 1918, podczas akcji rozbrajania Niemców i przejmowania władzy. Jednakże ówczesne pierwsze ściśle polityczne doświadczenie Śmigłego, udział w charakterze ministra wojny w tzw. rządzie lubelskim Ignacego Daszyńskiego przyniosło ostrą reprymendę Piłsudskiego pod adresem jego i innych członków gabinetu: „Kury wam szczać prowadzać, a nie politykę robić”. Odtąd, za życia Marszałka, od podobnej działalności stronił, ale też nie dano mu żadnej szansy jej podjęcia.

W wojnie 1920 r. dał dowody znanych już żołnierskich przymiotów, dowodząc 3 Armią w ofensywie na Kijów i następnie wyprowadzając ją szczęśliwie z bolszewickiego kotła. Jak słusznie twierdzi Ryszard Zieliński, kampania „zbiła mu kapitał wysuwający go bezsprzecznie na pierwsze miejsce w oczach Piłsudskiego”. Po jej zakończeniu został w randze generała dywizji inspektorem armii z siedzibą w Wilnie. W roku 1926, wysyłając bez wahania na czas posiłki do Warszawy, przyczynił się do zwycięstwa majowego puczu. W tym też czasie, wobec utajonego konfliktu pomiędzy Piłsudskim a gen. Kazimierzem Sosnkowskim, zaczął wysuwać się na czoło nieoficjalnej hierarchii legionowej.

Śmierć Marszałka przyniosła mu nieoczekiwany pomimo wszystko awans na generalnego inspektora sił zbrojnych. Zdecydował o nim prezydent Mościcki, który sądził, że w przeciwieństwie do kontrkandydata – Sosnkowskiego – nie będzie mieszał się do polityki. Pośpiech, z jakim nadano mu rok później buławę marszałkowską, wzbudził niesmak wielu prominentnych piłsudczyków, przypisujących przedwczesną inicjatywę doradcom Rydza. „Ten miły, kulturalny, inteligentny człowiek – pisał po latach Janusz Jędrzejewicz – uległ jakby zaczadzeniu w dymach pochlebstw otoczenia, często najfatalniej dobranego, i nie wytrzymał niebezpieczeństwa pokus, które daje każde wybitne w społeczeństwie stanowisko”.

Nieuchronna próba kreowania Śmigłego na następcę Piłsudskiego także na niwie państwowej mogła wywołać ostry konflikt z Mościckim, który postanowił wykorzystać prezydenckie prerogatywy i zająć swe konstytucyjne miejsce. Obydwaj rywale, jednocząc skutecznie siły w walce z innymi pretendencjami do władzy, podzielili jednak na zasadzie kompromisu sfery wpływów, czego widowym dowodem stało się powołanie gabinetu gen. Sławoja Składkowskiego składającego się po połowie z „ludzi pana marszałka” i „ludzi pana prezydenta”. Ponadto podeszły już w latach prezydent nakazał wyznaczenie Śmigłego „drugą po nim osobą w państwie, a to jako przygotowanie do wyboru prezydentem Rzeczypospolitej w 1940 roku”.

Aby wzmocnić bazę polityczną Śmigłego, w roku 1937 powołano pod jego egidą, w miejsce rozwiązanego BBWR, jako partię obozu władzy, Obóz Zjednoczenia Narodowego (OZN). Programowe enuncjacje „Ozonu” miały charakter centroprawicowy i w tę stronę marszałek, z miernym zresztą powodzeniem, usiłował poszerzać kurczącą się bazę

sanacji. Szczególnie wyrazisty charakter miał wiec ludowy w Nowosielcach, gdzie rozwścieczeni chłopci nie dali mu dokończyć przemówienia, przerywając je okrzykami, domagającymi się powrotu do kraju Witosy. W braku realnych sukcesów OZN zaczął krzewić kult wodza. Budowano go na wszelkie sposoby, także za pomocą prostych piosenek:

Marszałek Śmigły-Rydz, nasz drogi, dzielny wódz,

Pójdziem z nim najeźdźców tłuc.

Gdy każe.

Nikt nam nie zrobi nic,

Nikt nam nie weźmie nic,

Bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły-Rydz...

Śmigły za swe główne zadanie uważał przygotowanie kraju do wojny. Siły zbrojne, gdy obejmował GISZ, znajdowały się w głębokim kryzysie. Wspominał później, „że zastał stan mobilizacji grożący katastrofą, oparty na fikcji 46 dywizji, kiedy 30 dywizji było marzeniem nie do spełnienia; nie było ani jednego działka przeciwlotniczego, ani jednego pepanca, z wyjątkiem gratów z 1920 [r.]”. Marszałek z zapałem i determinacją zabrał się do odrabiania zapóźnień. Pokażna pożyczka, którą wynegocjował podczas wizyty we Francji w roku 1936, miała ułatwić dobrojenie armii. Rozpoczęto opracowywanie planów wojennych, z tym że pierwszeństwo dano wschodniemu teatrowi działań wojennych, który jeszcze stwarzał wciąż większe zagrożenie. Przeprowadzono wreszcie częściową wymianę wyższej kadry i wdrożono szereg reform organizacyjnych.

Komplikująca się gwałtownie sytuacja międzynarodowa uwidoczniła jednak zrazu li tylko potencjalne zagrożenia ze strony Niemiec. Co do jego istnienia marszałek nigdy nie żywił wątpliwości, dając zarazem wyraz przekonaniu, że w razie konfliktu Polska będzie miała oparcie w swoich sojusznikach. W lutym 1939 r., oceniając realnie własne możliwości, przedstawił na poufnej naradzie na Zamku najbardziej prawdopodobny scenariusz przyszłych wydarzeń: „Pierwszą fazę tej wojny przegramy, ale [...] w międzyczasie Francja zreorganizuje armię i przygotowuje uderzenie, które nam automatycznie ulży i nie ulega wątpliwości, że wraz z Francją i jej sprzymierzeńcami wojnę ostatecznie wygramy”. Nadmiernych złudzeń nie żywili również najbliżsi współpracownicy Rydza, świadomi dysproporcji sił i wojskowej potęgi III Rzeszy. Zastępca szefa Sztabu Głównego płk Józef Jaklicz wyraził opinię co do losów przyszłej wojny z żołnierską lakonicznością: „dostaniemy w dupę!”.

Wspierając starania Becka o pozyskanie brytyjskich gwarancji i umocnienie aliansu z Francją, równie krytycznie jak on oceniał oferty współpracy, jakie pośrednimi kanałami składali Sowieci: „z Niemcami ryzykujemy utratę naszej niepodległości, [w sojuszu] z Rosjanami utracimy naszą duszę”. Pomimo to możliwości jednoczesnej agresji sowieckiej pod uwagę nie brał ani przed podpisaniem paktu Ribbentrop–Mołotow, ani nawet później, już po ataku niemieckim.

Przygotowując armię do działań, Śmigły poczynił fundamentalne założenie, o którym do dzisiaj zapomina wielu krytycznie nastawionych do naczelnego wodza historyków: „wobec przygniatającej przewagi sił i położenia, jaką nieprzyjaciel będzie miał nad nami, nie będziemy mieli żadnych szans załamania ofensywy jego głównych sił samodzielnie, ani obroną stałą, ani manewrem prowadzącym do bitwy decydującej [...]. Zatrzymać ofensywę niemiecką będziemy mogli dopiero, gdy nastąpi zmiana niekorzystnego stosunku sił, związana z odciążeniem naszego frontu przez ofensywę na Zachodzie. Działania nasze – komentuje ideę przewodnią marszałka jego szef sztabu gen. Wacław Stachewicz – do tej chwili miały więc mieć charakter walki o czas, walki o przetrwanie. Walka o czas mogła być w naszych warunkach tylko strategicznym opóźnieniem [...] do czasu odciążenia naszego frontu. Rozstrzygnięcie mogło zapaść tylko na froncie zachodnim”.

Sam Śmigły w swoim czasie przestrzegał: „nie możemy i nie powinniśmy mieć frontów ciągłych”. Tymczasem tworząc zarys planu wojny z Niemcami, nakazał, co zarzucają mu niemal wszyscy krytycy, ugrupować siły polskie linearnie wzdłuż całej przerażająco długiej granicy polsko-niemieckiej. O dyslokacji wojsk zdecydowały zarówno

czynniki polityczne, jak i gospodarcze. Istniało bowiem realne niebezpieczeństwo, że w razie uprzedniego wycofania większości sił na linię Wisły, co podpowiadałyby niezmiennie zasady prowadzenia wojny, Niemcy zadowolą się okupacją opuszczonych terytoriów (Pomorze, Poznańskie, Śląsk), aby następnie, celem lokalizacji konfliktu, odwołać się do mediacji mocarstw, poszukując nowego kompromisu w rodzaju Monachium. Walka wszystkimi siłami, od pierwszych minut wojny, stała się zatem strategiczną i polityczną koniecznością, gdyż jedynie w ten sposób można było wymusić dotrzymanie gwarancji złożonych przez sojuszników. Na kresach zachodnich znajdowały się nadto, pomimo budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego, i właściwe centrum przemysłowe kraju, i główne ośrodki mobilizacyjne polskiego rekruta. Ziem tych należało zatem jego zdaniem bronić w sposób spektakularny i uporczywy, opuszczając je dopiero po uprzedniej planowej ewakuacji.

Niewątpliwą słabą stroną planu wojny był ogólnikowy, szkicowy wręcz charakter i co gorsza otoczenie go niezrozumiałym wręcz nimbem tajemnicy. „Dowódców armii traktował Rydz jak kaprali i trzymał ich w zupełnej nieświadomości co do myśli przewodniej swego planu, co do użycia swych odwodów, a nawet co do ugrupowań i zadań sąsiadów” – pisał nie bez racji ppłk Horak. Gen. Czesław Młot-Fijałkowski sądził słusznie, że naczelny wódz „odziedziczył tę metodę postępowania po marsz. Piłsudskim”. Kolejnym błędem stała się, również wyniesiona z wojny 1920 r., skrajna wręcz centralizacja dowodzenia. Nawet tak lojalny obrońca marszałka, jakim okazał się jego szef sztabu gen. Wacław Stachewicz, zauważa, „że na warunkach pracy Naczelnego Dowództwa, dowództw armii i grup operacyjnych odbił się bardzo ujemnie brak organizacyjnych dowództw grup armii (frontów) oraz zbyt mała ilość organizacyjnych dowództw grup operacyjnych (korpusów)”. W warunkach rwącej się łączności Śmigły, pozbawiony najdalej po kilku

dniach możliwości komunikacji z podwładnymi, utracił praktycznie możliwość dowodzenia. W rezultacie dowódcy armii, a nawet dywizji, toczyli własne kampanie, nie znając do tego zamysłu i idei przewodniej naczelnego wodza.

Po klęsce, którą wojska polskie poniosły w bitwie granicznej, Śmigły wraz ze sztabem opuścił zagrożoną niemieckimi klinami pancernymi Warszawę i udał się na południowy wschód. Ogarniając pomału sytuację, zaczął przychylić się do koncepcji zorganizowania tam stałego oporu. Przedmoście rumuńskie wspierane dostawami alianckiego sprzętu miało utrzymać się do czasu wyruszenia ofensywy francuskiej. Rachuby te przekreśliła sowiecka napaść. Marszałek, który początkowo rozważał szanse przeciwstawienia się agresji wszystkimi posiadanymi jeszcze siłami, po skalkulowaniu wszystkich *pro* i *contra*, przekonany o bezcelowości obrony, wydał, przekazany drogą radiową, fatalny w skutkach rozkaz o faktycznym zaniechaniu oporu: „Sowiety wkroczyły. Nakazuję ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony albo próby rozbrojenia oddziałów. [...] Miasta, do których podejść bolszewicy, powinny z nimi pertraktować w sprawie wyjścia garnizonów do Węgier lub Rumunii”. Walkę miały kontynuować, „ze względów politycznych”, jedynie walczące jeszcze z Niemcami bastiony: Warszawa, Modlin, Lwów i Hel, „by Hitler nie mógł ogłosić światu, że opór Polski skończony, że mocarstwa zachodu nie mają po co już walczyć”. Spodziewano się jednocześnie, że zbrojną demonstrację, protest wobec świata przeciw podstępnej agresji ZSRS, wyrażą strzały cofających się oddziałów KOP.

Sam stanął przed iście szekspirowskim dylematem: przemyślał początkowo o powrocie do walczącej Warszawy, co abstrahując od trudności technicznych (lot samolotem w istniejących warunkach był przedsięwzięciem ogromnie ryzykownym), stanowiłoby gest tyleż romantyczny, co politycznie bezwartościowy, a nawet szkodliwy. Decyzja o przejściu granicy rumuńskiej była gorzka, ale słuszna. Marację płk Jaklicz, stwierdzając, że chęć śmierci „na polu chwały pokonało poczucie odpowiedzialności Naczelnego Wodza, którego rola nie kończyła się na tragicznym zakończeniu kampanii wrześniowej w Polsce”. Marszałek uważał, że jego miejsce jest przy odradzającym się na Zachodzie wojsku, z obawy, „że inna ręka zmieni Polaków we Francji w senegalskich najmitów”. Podzielając po części argumentację Śmigłego, na poparcie której przytoczyć można niemało historycznych precedensów (księcia Józefa, który po klęsce Napoleona w Rosji opuścił zdane na łup najeźdźców Księstwo Warszawskie i podążył za Cesarzem, aby kontynuować nieprzegraną wciąż wojnę, czy ostatniego wodza powstania listopadowego, gen. Macieja Rybińskiego, który przeszedł w roku 1831 granicę pruską – już bez nadziei przedłużenia walki – aby nie dostać się w moskiewskie jarzmo), wypada jednak żałować, że nie podjął sugestii, wysuwanych przez szefa Brytyjskiej Misji Wojskowej gen. Cartona de Wiarta, aby graniczny Czeremosz przekroczyć dosłownie w ostatniej chwili, z karabinem w ręku, ostrzeliwując się symbolicznie nadciągającym wojskom sowieckim. Tego rodzaju teatralna inscenizacja miałaby bowiem, z punktu widzenia właściwego oświetlenia agresji ZSRS przed międzynarodową opinią, znaczenie niebagatelne.

Internowany w Craiovej, a następnie w Dragoslavele w grudniu 1940 r. bez większego trudu zbiegł symbolicznej straży i przedostał się na Węgry. Do Warszawy, która stanowiła cel jego ucieczki, przybył w końcu

października 1941 r. Wedle wersji kolportowanej później przez najwyższe struktury ZWZ-AK zmarł miesiąc później, 27 listopada, w wyniku zawału serca, w swym konspiracyjnym mieszkaniu. Pochowano go na Powązkach pod nazwiskiem Artura Zawiszy.

Sprawa nie jest jednak ani prosta, ani jednoznaczna. Wedle danych, które już w połowie lat osiemdziesiątych zestawiał Dariusz Baliszewski, wszelkie dowody i świadectwa w sprawie śmierci marszałka są niespójne i sprzeczne. Podając w wątpliwość sam fakt, historyk zdany jest na snucie hipotez i supozycji. Możliwe wydaje się, że Rydza wywieziono poza Warszawę, aby uchronić od tropiących go zajadłe Niemców, izolować od swych politycznych zwolenników, bądź, poprzez swego rodzaju internowanie, pozbawić możliwości działania. Pewne ślady wskazują, że zmarł pół roku później. Na rzecz owej sensacyjnej rekonstrukcji przemawia także wiele poszlak pośrednich, m.in. ta, że gen. Grot nie tylko ukrył uprzednio przed Sikorskim swoje spotkanie z marszałkiem, ale nawet informacje o jego pobycie w Polsce, podejmując z nim lub wokół niego polityczną grę.

Po co jednak wracał? Wersja, jakoby uczynił to, aby zrehabilitować się za Wrzesień i stanąć na czele podziemnej armii czy choćby jednej z konspiracyjnych organizacji piłsudczykowskich, jest tyle romantyczna, co naiwna. Uwagę musi zwracać za to termin realizacji odkładanej długo decyzji o opuszczeniu gościnnych Węgier – moment, gdy losy wojny nie tylko na Wschodzie wydawały się przesądzone. Była to ostatnia chwila na próbę odnalezienia polskiego Pétaina i próbę porozumienia z Niemcami. Jeśli Śmigłym, który jak nikt nadawał się do tej roli, powodowały tego rodzaju pobudki – okazałby się mężem stanu, jakim stał się w roku 1940 francuski marszałek.

